EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 17 września 1933 R. | NR. 38 (51)

Inny posterunek

Miara człowieka

Drogi prostytucji

Niemądrzy czytelnicy

Namiętności naukowe

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki.

AUTORZY: Wasowski. Michałowski. Krahelska. Łukrec. Czarnowski. Szpecht. Kotarbiński.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

SĄDY DORAŹNE

W nieskonfiskowanej części artykułu p. t. „Domagamy się zniesienia sądów doraźnych" pisze *Robotnik* m. in.:

„Ze smutkiem bowiem stwierdzić należy, że opinja publiczna w Polsce okazuje dotąd bardzo małe zainteresowanie sądami doraźnemi i z jakąś niepojętą obojętnością traktuje tę sprawę. Zwłaszcza instytucje społeczne, najbardziej powołane do zabierania głosu w tej sprawie, milczą. Dwa lata mijają już od czasu zaprowadzenia sądów doraźnych, ale dotąd tylko klasa robotnicza zwalcza je od samego początku i domaga się ich uchylenia. Cała reszta społeczeństwa jest jakby tknięta paraliżem i albo nie rozumie, albo nie chce rozumieć, co się dokoła niej dzieje.

„Pisząc o sądach doraźnych, unikamy świadomie argumentów natury moralnej, nie apelujemy też do sumienia, czy uczuć humanitarnych, ani do poczucia prawa tych, co w sprawie tej decydują, ale których o żadne „sentymenty" czy „przesądy" nie posądzamy. Chodzi nam wyłącznie o celowość sądów doraźnych. A z punktu widzenia celowości działalność sądów doraźnych może zmierzać tylko do jednego: do nastraszenia. Sądy doraźne mają być postrachem dla kandydatów na przestępców i przez to samo powstrzymać ich od przestępstw. Możnaby wziąć w rachubę także czynnik zemsty, ale byłaby to pobudka tak niska, a ze względów polityczno-wychowawczych tak nieskuteczna, że możliwość tę wyłączamy.

„Ale dwuletnia praktyka sądów doraźnych w Polsce dowiodła, że sądy te, traktowane jako postrach, chybiają celu. Już sam fakt, że procesów doraźnych w Polsce jest tak dużo, że sądy doraźne mają tyle do roboty, świadczy, że nie są one środkiem zapobiegawczym przeciw przestępstwom i zbrodniom, którym mają przeciwdziałać".

KULISY POLITYKI

W związku z zamieszkami, jakie wybuchły w miniaturowej republice Andory, dziennik hiszpański *Humanitat* ogłosił szczególnie interesującą informację:

„Nikt nie spieszy się z ujawnieniem właściwego podłoża obecnego ruchu rewolucyjnego w republice Andory. Motyw tego milczenia jest bardzo prosty. Oświadczamy na podstawie wiadomych nam i ścisłych danych, że przyczyną rozruchów jest spór pomiędzy władzami Andory a towarzystwem, które buduje na terenie republiki olbrzymią instalację hydroelektryczną. Otóż p. Tardieu, były przewodniczący parlamentu francuskiego oraz p. Forgeot, były minister i podsekretarz Stanu są dwoma głównymi akcjonarjuszami powyższego towarzystwa".

Informacja dziennika barcelońskiego *Humanitat* stawia w szczególnem świetle zainteresowanie, jakie okazał Andorze p. Tardieu od chwili objęcia władzy. On to mianował za namową podsekretarza, p. Forgeot, — „namiestnika" wbrew oburzeniu i protestom ludności Andory. Wysoki ten urzędnik p. Carbonneil, w otoczeniu francuskiej żandarmerji (również podarek p. Tardieu) traktował Andorę jak kraj podbity.

Towarzystwo koncesyjne, o którem pisze *Humanitat* nazywa się „Towarzystwo Energji hydroelektrycznej Andory" i jest filją francuskiego „Związku Elektrycznego".

DWIE MODY

Budapeszteńskie *Pesti Naplo* zamieściło artykuł p. t. „Moda jesienna 1933" pióra publicysty Georges Balinta. Przytaczamy poniżej urywki interesujących wywodów o modzie, która będzie panowała w roku 1933 — w dziedzinie elegancji, strojów... wojennych oraz strojów olbrzymiej rzeszy bezrobotnych i głodujących:

„P. L..., niekoronowany król mody kobiecej, poucza u progu każdego sezonu swoich kornych poddanych o najnowszych tendencjach mody. Niedawno obwieścił publicznie, że jesień tegoroczna będzie okresem odrodzenia linji klasycznych. Krój sukni będzie ściśle sharmonizowany z ruchami. Kolorem dominującym będzie zieleń. Materjały będą ciężke, majestatyczne i efektowne. Postawa będzie objęta lekko ściśniętym pasem... Obecnemu dekretowi króla mody brak pewnej precyzji. Pozostawia pewne kwestje nierozstrzygnięte i wypowiada się jedynie na temat mody kobiecej. Dlatego też zwróciliśmy się do różnych kompetentnvch osób, aby uzyskać rozleglejsze pouczenia o modzie.

„Nasi informatorowie potwierdzili nowinę, według której materjały będą majestatyczne i efektowne. Zasada ta obejmie nietylko stroje kobiet, lecz również mężczyzn. Większość delegatów przyszłej konferencji światowej wystawi na pokaz majestatyczne i pełne efektu bogactwo strojów. Dwadzieścia miljonów bezrobotnych amerykańskich zaprezentuje również nowe modele kurtek i spodni, oryginalnych i niepozbawionych swoistego wdzięku. Niektórzy wyróżnią się oryginalnością postrzępionych rękawów koszul, inni — fałdami spodni, ułożonych w tak zwany „korkociąg" lub „harmonijkę".

„Jeśli wierzyć znawcom, moda ta odniesie taki sukces, że przetrwa całą zimę. Członkowie ochotniczej służby pracy w Prusach Wschodnich będą nosili zalotne, ściśle opięte uniformy, wyróżniające się purytańską prostotą. Będą troskliwie dbali o czystość linji i wysmukłość przy pomocy odchudzającej djety oraz intensywnej gimnastyki. Wielcy posiadacze ziemscy, junkrzy, przywdzieją jako strój dzienny brunatną koszulę, lecz pozostaną wierni w porze obiadowej i wieczorowej smokingowi i żakietowi. Moda umysłowych bezrobotnych Europy Środkowej nie ulegnie poważniejszym zmianom. Nadal będą nosili wyświecone marynarki, artystycznie przenicowane w ubiegłym roku, strzępiaste spodnie, kołnierzyki, mieniące się kolorami sztucznej kości słoniowej, skarpetki, ozdobione okrągłą dziurą na piętach. Gandhi nie porzuci białego prześcieradła ani kąpielowych spodni, które odniosły tak żywy sukces.

„Talję opinać będzie pas, mocno u większości ludzi ściśnięty. W niektórych wypadkach używane będą pasy z konopi, zarzucone na szyję. Powstanie w dziedzinie ozdób wiele nowych modeli. W wielu krajach europejskich znajdą zastosowanie me-

talowe bransoletki, harmonijnie i z elegancją łączące obydwie ręce posiadacza... Stroje sportowe młodzieży uzupełnione będą gazowemi maskami.

„Są to modele, o których nie wspomina dekret króla mody na rok 1933".

TAM, GDZIE GORZEJ

Dzienniki warszawskie zamieściły w kronice sądowej, wiadomość następującą:

Przed sądem stanęła Kajla Rochman, oskarżona o podrzucenie dziecka w korytarzu komisarjatu. Oskarżona, zapytana przez sędziego o powód swego czynu, odparła: „Mieszkałam w piwnicy, gruźlica zżerała dziecko, na ulicy lub u dobrych ludzi mogło mieć lepiej — dlatego podrzuciłam".

Sąd skazał Rochmanową na 6 miesięcy więzienia z zawieszeniem na przeciąg lat 2-ch.

Możnaby dodać: Rochmanowa była niewątpliwie wzruszona dobrocią sędziego, który zrozumiał, że istotnie chciała dziecko oddać „tam, gdzie lepiej", a dziecko wróciło — tam, gdzie gorzej...

POMNIK JEŃCÓW W BUDZISZYNIE

Przed laty piętnastu rzeźbiarz polski, Romuald Zerych, znajdując się jako jeniec wojenny w niemieckim obozie koncentracyjnym w Budziszynie (Bantzen), powziął myśl wzniesienia pomnika na cmentarzu, dla gęsto umierających jeńców świeżo założonym. Towarzysze jego, głodujący i ubodzy, jak on, złożyli się na materjał.

Uzyskawszy zgodę miasta i miejsce na pomnik, artysta przystąpił do pracy. W roku 1918 pomnik został odsłonięty.

Bieżącego lata, w sierpniu, Zerych, wracając z Italji, wstąpił do Budziszyna, aby odwiedzić cmentarz i przekonać się o „zdrowiu" swego dzieła. Był przygotowany na wszelkie możliwości.

Po przyjeździe zobaczył, że mieszkańcy Budziszyna otaczają miejsce wiecznego spoczynku swych byłych wrogów prawdziwą dbałością. Doskonale utrzymany cmentarz jest pełen zieleni i kwiatów. Pomnik trwa pięknie i cało na tle listowia drzew.

Co więcej, gdy wieść o przybyciu artysty, zachowującego początkowo incognito, rozeszła się po mieście, poczuł się ogarnięty ciepłem życzliwej serdeczności. Spotykani ludzie, starzy i młodzi, witali go, jak znajomego. Na zorganizowanem naprędce zebraniu Związku byłych jeńców wojennych wrażenie tej międzyludzkiej wpólnoty stało się jeszcze mocniejsze. Ani śladu zastrzeżeń, nieufności, czy choćby czujnej rezerwy.

Wytworzyła się bowiem samorzutnie taka sytuacja psychiczna, przy jakiej ludzie czują się braćmi. Oskrobani z nawarstwień życia bieżącego, które często dzieli, czy też może nie zanadto w nie wplątani, mieszkańcy Budziszyna i polski artysta znaleźli do siebie drogę poprzez rzeczy trwałe, istotne, w których przejawia się prawdziwe, wolne od uwarunkowań, człowieczeństwo.

„KRYZA"

Opowiada nam ktoś, kto przybył z Huculszczyzny, o swej rozmowie z chłopem jednej z zapadłych i najbardziej zbiedzonych wsi huculskich. Chłop ów tak określił dzisiejszą sytuację:

— Dopóki rządził Piłsudski, wszystko było dobrze, ale jak przyszedł ten Kryza, to wszystko zepsuł.

INNY POSTERUNEK

Niech nam będzie wolno poświęcić na tem miejscu kilka słów *Epoce* z powodu bardzo zresztą skromnego jubileuszu: mamy za sobą 50-ty numer naszego tygodnika. Nie jest to jeszcze powód do nadmiernego zadowolenia: przebyliśmy zaledwie pierwszy na tej placówce etap pracy ideowej, zdobyliśmy pierwszy zastęp czytelników i ustaliliśmy swoje miejsce odrębne na terenie publicystyki polskiej.

Kiedy ukazały się pierwsze numery *Epoki,* nie wróżono nam długiego żywota. Jakże utrzymać się może pismo, które odrzuca tak dobrze wypróbowane atrakcje? Pismo bez trywjalnych sensacyj dziennikarskich, bez krzyku demagogji, bez schlebiania niskim instynktom i pospolitym gustom, bez szyldu partyjnego? Pismo szerzące — w dzisiejszych czasach!— humanitarny „donkiszotyzm", broniące praw człowieka i obywatela, trzymające się zasad sprawiedliwości społecznej! Jakiż wywołać może oddźwięk w szerszych kołach społeczeństwa, które ulegają coraz szybciej sugestji haseł wręcz odmiennych? Wśród jakich czytelników pismo takie może znaleźć poparcie?

Na te pytania mieliśmy jasną odpowiedź: nie zakładamy imprezy handlowej, która musi się przystosować do niewybrednego smaku najszerszej publiczności. Przemawiamy do czytelnika niezatrutego strawą dziennikarską i niespragnionego najtańszej sensacji. Przeciwstawiamy się tej epidemji. Bowiem — jak pisaliśmy — czytelnik gazet, zagłuszony sensacjami, zatraca poczucie błahości rzeczy jednych a powagi innych. Absorbując swój umysł wyłącznie jaskrawościami chwili bieżącej, sensacjami jednej doby czy godziny, przestaje rozumieć i odczuwać najgłębsze sensacje epoki, która niesie światu nietylko „wstrząsające" nowiny dziennikarskie, lecz wielką odmianę zbiorowego życia.

Nie wkroczyliśmy na drogę łatwej demagogji, uprawianej przez wszystkie polityczne kramy i kramiki. Zbyt szanujemy intelektualne potrzeby tej rozumnej mniejszości, która bardziej ceni myśl niezależną, niż szablon i szyld, krytycyzm, niż dogmat, sąd uczciwy, niż narzuconą doktrynę. Nie zajmujemy się wbijaniem ćwieków w bezkrytyczne głowy. Znakomity krytyk, ś. p. Ignacy Matuszewski pisał: „Człowiek zwyczajny, znalazłszy się wobec jakiegoś nowego zjawiska, dopóty zachowuje się badawczo i czynnie, dopóki nie wyszuka dla niego jakiejś rubryki lub nazwy, zbliżonej do starych i utartych terminów. Odgrzebawszy na jakimś śmietniku podobny ćwiek, wbija go sobie i innym w głowę i przestaje myśleć nad tem, co widział. O ćwieki takie wcale na świecie nie trudno". Dziś łatwiej, niż kiedykolwiek.

Stoimy zdala od dróg myśli partyjnej i wszelkich jej zwyrodnień. Nie negując głębokiej racji bytu politycznych stronnictw, sądzimy, że dla duchowego

i umysłowego zdrowia społeczności pożyteczne są te nieliczne posterunki, z których promieniować może myśl nieskrępowana nakazami partji. Gdzież inaczej odbywaćby się mogła najrzetelniejsza rewizja pojęć zadawnionych i skostniałych? Gdzie rozlegaćby się mógł sąd poważny o targowisku politycznem świata? Gdzie — sumienna konfrontacja haseł, fikcyj i przywidzeń z nową rzeczywistością społeczną? Walki partyjne — mówiliśmy to nieraz — pozbawione są cienia myśli objektywnej. Idący w tłum ma sprawę prostą: nasz obóz — to szlachetność i mądrość, obóz naszych wrogów — to nikczemność i głupota. Choćby zdawał sobie sprawę, że i w jego obozie dzieją się rzeczy, przeczące rozumowi i moralności, że po stronie przeciwnej nie wszystko jest głupie i podłe, nigdy nie wypowie jakichkolwiek zastrzeżeń. Chce obudzić wiarę fanatyczną, która nie znosi wątpliwości. Ma zadanie hypnozytera, nie nauczyciela. Sugestjonuje, nie poucza.

Na taki też poziom spadła publicystyka dzisiejsza. Przechodzi ona kryzys zaiste ponury: okres bankructwa myśli niezależnej, zaniku ambicji intelektualnej i zbrukania publicznego słowa. W przytłaczającej większości pism publicysta dzisiejszy może tylko wypełniać schematy. Nie gra, lecz kręci korbą grającej maszyny. Jest w położeniu pianisty, któremu kazano grać na instrumencie z szeregiem głuchych klawiszów. W każdej sprawie, na temat każdego zagadnienia posiłkuje się wyłącznie argumentami, które otrzymały sankcję jego politycznego obozu. Stał się człowiekiem wynajętym do pisania i niepowołanym do myślenia. Ma swobodę szczególną: wolność słowa bez wolności myśli. Niech sobie pisze, jak chce, byleby trzymał się zakreślonych mu granic i powtarzał podyktowane mu argumenty, djagnozy i recepty. W publicystyce dzisiejszej nie pisze człowiek niezależny i myślący, piszą firmy polityczne rękami swoich wyrobników.

W tych warunkach istnienie placówki publicystycznej zgoła innej, niewyrobniczej, niezaprzęgniętej do partyjnego kieratu, nie może być pozbawione uzdrawiającego znaczenia.

Również takie znaczenie przypisujemy owej uporczywej „donkiszoterji": nieustępliwości w trzymaniu się zasad humanitarnych — w czasach, kiedy zasady te traktowane są z wyniosłym sceptycyzmem, brutalnem lekceważeniem lub zimną nikczemnością. Narażamy się na zarzut anachronicznej czułostkowości. Jeżeli obrona elementarnych praw człowieka i obywatela ma się nazywać czułostkowością, będziemy nadal „sentymentalni", pozostawiając wszechświatowemu chamstwu tytuł „trzeźwości" i „realizmu". Jeżeli walka o sprawiedliwość społeczną ma już należeć do przeżytków, będziemy „konserwatywni" w zestawieniu ze wszystkiemi „wyzwolonemi" hordami cywilizowanego świata. Gdzieś przecież, na jakichś placówkach i posterunkach ideowych schronić się musi gnany zewsząd duch protestu przeciw zalewowi barbarzyństwa i — dzięki swemu uporowi, cierpliwości, wierze — przeczekać nawałnicę krzywdy, zbrodni i nierozumu.

Z tym naszym „konserwatyzmem" łączymy przekonanie, że współczesne społeczno-polityczne prowizorjum nie będzie trwało zbyt długo, chociaż nieprzytomność polityczna odnieść może niejeden jeszcze tryumf. Nadmiar zła i niedorzeczności rozsadza ramy obecnego ustroju. A z błędnego koła sprzeczności dzisiejszych nie będzie wyjścia na drogach żadnego oszustwa, któremi jeszcze mami się i oszałamia bezkrytyczne masy. Nie pomogą żadne strategje i dywersje polityczne, nie pomogą orgje reakcyj — z nacjonalistyczną na czele.

Wypatrujemy nowego porządku społecznego, usuwamy zapory odmianom nadchodzącym, zrywamy hamulce psychiczne, które tkwią w myślach, sądach i uczuciach, pracujemy dla innej, jaśniejszej i mądrzejszej przyszłości. Postawa taka wymaga trudu i uporu, wiary i entuzjazmu, lecz bynajmniej nie skazuje na osamotnienie. *Epoka* znalazła wielu, wielu życzliwych i przyjaciół, którzy radzi są, że w czasach takich, jak dzisiejsze, ukazuje się pismo niezależne; znalazła wiernych czytelników, nie rezygnujących z najszczytniejszych haseł ludzkości i przez to należących do tego zastępu obywateli, który ratuje szlachetność pokolenia. W nich mamy naszych sprzymierzeńców i dzieki nim umacniać możemy nasz posterunek, tak niemiły wszystkim widmom ginącej przeszłości.

Józef Wasowski

MIARA CZŁOWIEKA

Czytam gazety. I te i tamte, nie powodując się jakimś specjalnym sentymentem czy specjalną awersją.

Tytuły krzyczą wielkiemi literami, chwytając na gorącym uczynku to i owo wydarzenie. A wśród tych wydarzeń przeważają, jeśli nie panują wogóle niepodzielnie, same okropności. Zabójstwo, samobójstwo, morderstwo — areszt, więzienie, szubienica. Istny ogród udręczeń. Jakgdyby wszystkie złe moce sprzysięgły się wszędy przeciwko człowiekowi. Jakgdyby w gęstej pomroce pogasły wszystkie jaśniejsze przebłyski. Czasem, zrzadka wśród tych wszystkich udręczających okropności, hojnie rozsianych na papierze gazetowym, błyśnie pogodniejsza „wiadomość" o czyjemś bohaterstwie, o czyjejś szczytnej ofierze. Ale to tylko błyskawica, zamierająca szybko na pełnem chmur niebie.

Biorę jedną z gazet do ręki i znajduję na tej samej stronie, tuż prawie obok siebie dwie nowiny. Jedna — to opatrzona wielkim tytułem depesza z Berlina: „W ciągu ostatnich tygodni narodowi socjaliści w bestjalski sposób pozbawili życia 20 osób. Z okna domu dawnej siedziby związku „Volksfreund" hitle-

rowcy wyrzucili po pobiciu 6-ciu robotników. Wszyscy ponieśli śmierć".

A nieco niżej drobnym druczkiem „drobnostka" telegraficzna: „Bombardowanie w Indjach". Brytyjskie samoloty wojskowe bombardowały wczoraj dwukrotnie miejscowość Kotkai, niszcząc prawie wszystkie osiedla. W południowo-zachodniej części prowincji panuje spokój".

Zestawiam te dwie obok siebie umieszczone w gazecie wiadomości, dotyczące zagadnienia stosunku człowieka do człowieka. Bo i tu i tam, w tej potwornej masakrze berlińskiej i w tem ohydnem bombardowaniu brytyjskiem, wchodzi w grę człowiek. Prawda, że Berlin niedaleko, Anglja dalej, a Indje jeszcze dalej; ale odległość nie powinna chyba odgrywać roli tam, gdzie chodzi o stosunki pomiędzy ludźmi — wszystko jedno czy będzie to stosunek europejczyka do europejczyka, czy europejczyka do hindusa. Jakże to przed 150-ciu blisko laty pisał na ten temat Kołłątaj?

„...wyspy francuskie, osady holenderskie i angielskie obchodzą się w sroższy nierównie sposób z murzynami, tymi to nieszczęśliwymi dwóch części świata obywatelami, w których łzach skropione produkta służą wykwintnym europejczykom za przysmak i wygodę".

I dalej tak mówi o tym „gwałcie prawa natury":

„Cóżto jest poddany czyjejkolwiek włości? jak go uważać należy w porządku przyrodzenia, względem którego równymi wszystkich mieć chciała Opatrzność? Czy biały, czy czarny niewolnik, czy pod przemocą niesprawiedliwego, czy pod łańcuchami jęczy — c z ł o w i e k jest i w niczem od nas się nie różni"...

Otóż to właśnie! Gdzież jest miara stosunku człowieka do człowieka? Czy stosunek ten należy mierzyć odległością, jaka ludzi dzieli? Czy i tu miałoby obowiązywać przysłowiowe prawo, mówiące o tej koszuli, która bliższą jest ciału, niż sukmana? Na klęski żywiołowe, spadające na człowieka, zamieszkującego hen, gdzieś za oceanami, Europa nieraz reagowała żywo. Słano kondolencje, zbierano składki. Ale prawda — tam wchodzą w grę żywioły, a tu tylko człowiek. Przed „dopustem bożym" ratujemy bliźniego, ale przed bestjalstwem ludzkiem — nie.

Gdyby indyjska miejscowość Kotkai nawiedzona została przez jakiś tajfun, powódź czy trzęsienie ziemi, a nie przez bombardujące samoloty wojskowe armji brytyjskiej, gdyby żywioł, a nie człowiek zniszczył wszystkie osiedla razem z ludźmi — wówczas Europa zbierałaby może składki, wciągałaby do humanitarnej akcji pomocy szersze warstwy społeczne. Ale że to nie był „dopust Boży", tylko samoloty brytyjskie, więc — nic się nie stało w Kotkai i nie odezwała się opinja Europy. Bo cóż z tego, że gdzieś tam w Indjach zniszczone zostały wszystkie osiedla ludzkie, skoro „w południowo-zachodniej części prowincji panuje spokój"! Wszystko w porządku. Żadna Liga Narodów czy Liga Obrony Praw Człowieka niema tu najwidoczniej nic do powiedzenia.

Czemu tacy obojętni jesteśmy na to, co się dzieje daleko od naszych granic, choć dzieje się to z rozkazu cywilizowanego, kulturalnego europejczyka? A przecież „czy biały, czy czarny niewolnik, czy pod przemocą niesprawiedliwego czy pod łańcuchami jęczy — CZŁOWIEK jest"...

Zygm. Michałowski

PRZYCZYNKI DO SPRAWY REFORMY OBYCZAJÓW

D R O G I   P R O S T Y T U C J I

Gdy myślimy o bolączkach i krzywdach ustroju kapitalistycznego, do zjawisk najbardziej skomplikowanych zaliczamy zawsze prostytucję. Prostytucja jest dużo starsza, niż ustrój kapitalistyczny, ale z tym ustrojem harmonizuje najdoskonalej. Dopóki nie zostanie zreformowana instytucja małżeństwa, póki nie nastąpi istotne, ekonomiczne równouprawnienie płci, tak długo cywilizacja ludzka będzie nosiła na sobie piętno i hańbę prostytucji. Wszelkie przepisy, normujące utrzymywanie i użytkowanie prostytucji w świecie współczesnym, przyczyniają się w praktyce do *rozszerzania jej szeregów,* do przymusowego prostytuowania kobiet z klas pracujących, nie mających z reguły w tym ustroju żadnej istotnej obrony.

Ważkim przyczynkiem do sprawy wielkiej krzywdy społecznej, utrwalonej przez reglamentację, jest wydana niedawno przez *Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego* książka p. t. „W obronie upadłej kobiety".

Jest to stenogram rozprawy sądowej w Łodzi, odbytej przed laty jedenastu, rozprawy, wdrożonej przeciw Stanisławowi Rapalskiemu, ówczesnemu wiceprezesowi Rady Miejskiej i Władysławowi Doleckiemu, redaktorowi pisma *Łodzianin* przez ówczesnego (dziś już nieżyjącego) kierownika Urzędu Sanitarno-Obyczajowego, doktora Stanisławskiego. Rapalski odpowiadał przed sądem za swój artykuł o urzędzie sanitarno-obyczajowym, opublikowany w *Łodzianinie.*

Książka jest sporządzona bez żadnej troski o efekt. Rozprawa sądowa zawierała z konieczności momenty o ogromnej wadze, niesłychanie interesujące z punktu widzenia społecznego, jak również mniej, albo wcale nieinteresujące i nieważne. Oczywiście, byłoby lepiej, gdyby zrobiono selekcję tego materjału i wyjęto z całej rozprawy sądowej te tylko momenty, które istotnie interesują społeczeństwo z punktu widzenia obrony t. zw. „kobiety upadłej". Wydawnictwo trzymało materjał ogromnej wartości w ciągu przeszło 10 lat bez użytku, a wydając wreszcie tę książkę — poszło po linji najmniejszego oporu: opublikowało poprostu rozprawę, dołączając przedmowę własną, krótkie usprawiedliwienie się z motywów opóźnienia publikacji, przedmowę senatora Stanisława Posnera, pisaną w r. 1927 i bardzo interesujące artykuły p. Rapalskiego w *Łodzianinie.*

Motywy wystąpienia p. Rapalskiego były nawskroś ideowe, czyste i głęboko społeczne.

„Widzieliśmy — mówił w ostatniem słowie oskarżony — t. zw. upadłe dziewczęta, które przesunęły się przed sądem, aby złożyć swoje zeznanie i opisały ten straszny obraz przeszłego i teraźniejszego życia. Wszak to nikt inny, tylko dzieci proletarjatu. Nędza, straszliwe warunki życia i reglamentacja, przy której działa Urząd i ajent — pchnęły niejedną na dro-

gę upadku, z którego wydobyć się nie może. Wśród tych dziewcząt nie było arystokratek, nie było z rodu uprzywilejowanych, nie było pań z towarzystwa, lecz czy w tych arystokratycznych sferach nie szerzy się prawdziwa rozpusta? Czy te sfery uprzywilejowane, bogate, bardzo cnotliwie życie swoje prowadzą? A czy choć jedna z tej sfery podlega kontroli ajentów Urzędu Sanitarno - Obyczajowego? Tam Urząd nie zajdzie ze swymi ajentami, tam on nie trafi... Ofiarami są tylko dzieci ludzi biednych, dzieci-sieroty, ścigane przez los surowy, opuszczone przez wszystkich. Do tych to przez nędzę wielkomiejską trafi nieświadomość czynu i do tych ofiar, jako „anioł opiekuńczy", trafi ajent obyczajówki"... (str. 193).

Z mowy obrońcy p. Rapalskiego adw. Kempnera— wyjmujemy wyjątek, dotyczący genezy wystąpienia p. Rapalskiego:

„Nie ulega kwestji, że są dwojakie metody postępowania: wobec jednych kobiet metoda postępowania jest bezwzględna, okrutna, bezlitosna, nie znająca żadnych ustępstw, są jednakże kobiety, które chociaż chore, chociaż uciekają ze szpitala, chciaż są posądzone o kradzież, jednakże otrzymują od tego doktora karteczki, że mogą przychodzić tylko do przychodni. Ciągle słyszy Szymańska (przełożona szpitala wenerycznego w Łodzi) skargi, że „gdybyśmy były bogate, to nie miałybyśmy tak ciężkiej kontroli". Dr. Stanisławski do jednej i drugiej powiada: „Wychodziłybyście na ulicę, lepiej zarobiłybyście, wziąwszy czarną książeczkę".

Głęboko w dzieciństwie, w proletarjackiem pochodzeniu p. Rapalskiego, w jego bliskości do pracujących warstw społeczeństwa, tkwią pobudki, które — na dygnitarskiem stanowisku — nie pozwoliły osłabnąć wrażliwości jego na zjawisko poniewierki kobiet z klas nieposiadających. „W następnych latach" (jako młody chłopak, było to około 1910 r.) zacząłem pracować w tramwajach. Okupanci niemieccy urządzili szpital Marji Magdaleny i przychodnię dla prostytutek vis à vis remizy tramwajowej. Instytucje te do dnia dzisiejszego mieszczą się pod tym adresem. I znów widziałem te armje dziewcząt, przychodzących i siłą przez ajentów sprowadzanych do Urzędu. Pewnego dnia przywieziono do Urzędu Sanitarno-Obyczajowego do kontroli na dwukołowym ręcznym wózku kobietę sparaliżowaną, lat około pięćdziesięciu. Zdziwiony, zapytałem jedną z kobiet, dlaczego to nawet sparaliżowaną ciągną na kontrolę, wszak sparaliżowana nie może uprawiać nierządu? Panie — odpowiedziała — *od kontroli wyzwolić nas może tylko śmierć litościwa!...*" (str. 48).

Zarzuty, jakie wysunął p. Rapalski sprowadzały się do twierdzenia, że kierownik Urzędu stosuje różną miarę do kobiet ubogich i zamożnych, lecząc te ostatnie prywatnie i udzielając im różnych ulg w zakresie obowiązującej kontroli; że dalej — utrudnia kobietom, pragnącym uczciwie pracować i nie uprawiającym już przez całe lata nierządu, utrzymanie się na drodze pracy, stosując bezwzględnie do nich przymus poniżającej kontroli, wyrywając je przez swych ajentów z fabryk, służby i t. p., powodując ich wydalenie z pracy.

Sąd okręgowy w Łodzi uniewinnił p. Rapalskiego, uznając, iż „okoliczności, przytoczone w inkryminowanym artykule przez podsądnego Rapalskiego, a mianowicie: że Urząd Sanitarno-Obyczajowy *zmuszał kobiety uczciwie zarabiające pracą, do uczęszczania na kontrolę, są prawdziwe*". (str. 195).

Dwa lata później sprawa była rozpatrywana w Warszawie, w sądzie apelacyjnym, który skazał Rapalskiego na 5, Doleckiego na 3 dni aresztu, kasując tę karę na zasadzie amnestji.

Ta strona sprawy zresztą już dziś nas nie interesuje. Kierownik Urzędu dr. Stanisławski dawno nie żyje, senator Posner stwierdził w swej przedmowie w r. 1927, że metody postępowania w Urzędzie uległy poprawie.

Pozostała jednak cała waga, całe społeczno-wychowawcze znaczenie podjętej i bronionej przez p. Rapalskiego sprawy: *odsłoniono publicznie, jaskrawo, wyraziście całe zło reglamentacji prostytutek, zło społeczne, szerokie i głębokie w swych skutkach.* Bo jakież to przepisy dały powód i możność do nadużyć, do konsekwentnego *odwracania kobiet z drogi uczciwej pracy na drogę prostytucji?*

Działała wówczas instrukcja dla urzędów sanitarno-obyczajowych, określająca przecie niedwuznacznie, kogo można podciągać pod przymusową kontrolę zdrowia? Art. 23 tej instrukcji głosił: „Przymusowym oględzinom lekarskim należy poddawać osoby, uprawiające nierząd zawodowo, t. j. oddające się wielu osobom w krótkich odstępach czasu, w ciągu tego samego dnia lub tygodnia" (str. 171).

Przed nami przewija się w tej książce cały zastęp świadków — tragicznych klijentek urzędu sanitarno-obyczajowego, stwierdzających, że nie uprawiały lub przestały już uprawiać prostytucję, a jednak zmuszano je do podlegania kontroli hańbiącej, która wciągnęła je do szeregów zawodowych prostytutek. Pominiemy straszliwe, tragiczne zeznania samych prostytutek, zacytujemy wyjątki z zeznania, p. Szymańskiej, przełożonej szpitala dla wenerycznie chorych. Wystarczy bowiem to jedno zeznanie człowieka z żadnej strony niezainteresowanego, ażeby rzucić snop światła na to, *jak przepisy odnoszące się do reglamentacji prostytutek łatwo obrócić się mogą w środek zwracania kobiet na drogę prostytucji.*

„J. pracowała jako krawcowa przez dwa lata w pracowni przy ul. Kilińskiego; urzędnicy obyczajówki przyszli do niej tam, gdzie ona pracowała i domagali się, żeby stawiła się na kontrolę. Właścicielka zakładu zapytała, kto to są ci panowie, którzy przychodzą.

„Po wyjaśnieniu całej tragedji powiedziała: pani u mnie pracować nie może i J. pozostała bez pracy. W drugiem miejscu powtórzyła się ta sama historja. Straciwszy pracę, P. pracowała w aptece, po nią również przychodzili ajenci obyczajówki, powiedziała, że stawać do kontroli nie będzie, bo uczciwie pracuje na kawałek chleba. Oświadczyli jej, jeżeli pani nie stawi się na kontrolę, będzie pani aresztowana. Poszła raz, doktór kazał przychodzić dwa razy tygodniowo, ona nie chodziła, gdyż zajęcie jej nie pozwalało; pewnego razu, gdy ajent przyszedł po nią, zażyła jodyny. Mimo to zmuszono ją do chodzenia do Urzędu. Dr. Stanisławski wtedy powiedział: pani musi przyjąć „czarną książeczkę". Wtedy po raz drugi chciała się otruć, ale i tym razem ją uratowano... R. była niejednokrotnie u mnie, nawet matka jej była i prosiły, żeby poradzić, jak wyrwać ją z tego nieszczęścia, bo tak żyć nie mogła; w fabryce może mieć robotę, a nie może pracować,

musiała chodzić na kontrolę trzy razy tygodniowo do południa"...

Książka ta otwiera *całą perspektywę męczeństwa kobiet ze sfer ubogich, pozbawionych środków do życia*. O te przedewszystkiem kobiety chodzi. Bo przecież wiemy, że kobiety ze sfer zamożnych, szczególnie w okresie powojennym, nierzadko uprawiają prostytucję, całkiem już zawodową, tak jak to jest opisane przez Kessla w jego „Belle du jour". Wieczorem i w nocy taka kobieta nie może być poza domem, ale uczęszcza do domów schadzek w godzinach dziennych, popołudniowych, kiedy mąż jest w biurze, w banku, na sesjach, wykładach i t. p. Dlaczego to czyni? W pewnej, mniejszej ilości wypadków, jak owa „belle du jour" — z ciekawości, z potrzeby wyżycia się seksualnego, z nadmiaru niewyzyskanego w małżeństwie temperamentu, ba! może czasem z jakichś powodów patologicznych. Częściej daleko— z powodów najzupełniej materjalnych. Nie nędza, głód dzieci, brak środków do egzystencji jest tu powodem, lecz *chęć użycia, strojenia się, popisywania się w towarzystwie, w szerszym świecie, podróżowania i t. p.* Kobieta z t. zw. „towarzystwa" dorabia tym sposobem na swe potrzeby. Skomplikowane, załgane, pełne sprzeczności życie płciowe małżeńskie i obyczajowe świata współczesnego sprawiło, że rozszerzają się nieograniczenie szeregi i ramy prostytucji, gdy pojęcie to odnosimy ściśle do zjawiska sprzedawania przez kobiety ciała swego za pieniądze, stroje, samochody, wogóle —za świadczenia natury materjalnej.

Czy warto byłoby zużywać energję i czas, jak p. Rapalski, na naświetlony tu zasiąg działania prostytucji? Oczywiście *nie*. Te panie potrafią pogodzić prostytucję z posiadaniem domu, ogniska rodzinnego, honorów, należnych mężatce i t. d. Wygląd ich nie zdradzi. Podmalowane usta, czernione brwi, cała technika „robienia" współczesnej twarzy kobiecej upodabnia kobiety uprawiające i nieuprawiające prostytucji. Dajmy tym paniom pokój. Zjawisko to, niezdrowe i obrzydliwe, zginie, gdy przebudują się stosunki małżeństwa i macierzyństwa, gdy się oddzieli podłoże ekonomiczne od stosunku miłości; podłoże, powodujące, że *bardzo często ślubna żona jest w stosunku do męża najistotniejszą prostytutką, kiedy zawiera handlową tranzakcję sprzedaży ciała za samochód, suknie, teatry i t. d.*

Społeczną grozę budzi tylko położenie kobiet z klas nieposiadających. Bo tam — zapędza się kobietę w położenie bez wyjścia. Skutecznie zaś dopomagają do tego przepisy o reglamentacji prostytutek.

Byłam raz w tym samym łódzkim Urzędzie Sanitarno-Obyczajowym, nie za czasów d-ra Stanisławskiego, interesując się związkiem między redukowaniem robotnic, a wzrastaniem liczby prostytutek. Kierownik Urzędu, lekarz, okazał zupełne zrozumienie dla tego zagadnienia i czem mógł, chciał mi pomóc do zebrania potrzebnych danych. W postaci urzędniczki, która wyjaśniała mi potem dane statystyczne Urzędu, widziałam wyraźnie, że bliskość jej ze zjawiskami życia przygotowała już ją do rozumienia tej prawdy, że prostytucja tych kobiet jest w dzisiejszym ustroju *żelazną konsekwencją nędzy...*

Przy wyjściu z Urzędu wyminęłam się z kobietą, która wchodziła tam w asyście ajenta obyczajowego. Wrażenie, jakie wywierała ta kobieta, zbiedzona córka proletarjatu, ubrana zimą w śmieszną i tragiczną pąsową suknię welwetową, było straszne. Wyminęły się ze mną jej oczy. Nie było jeszcze wtedy książki i sprawy Rapalskiego, nie znałam procederu kontroli i reglamentacji, przeszłości urzędu łódzkiego z czasów Stanisławskiego, ale widok tej wytartej z ludzkiego pochodzenia twarzy, jej zygzakowate wymijanie się ze schodzącą po schodach „panią" w mojej osobie, jej beznadziejna rezygnacja ruchów postawiły mi przed oczy problemat, który wysunął z taką siłą p. Rapalski: *męczeństwo procederu reglamentacji...*

Halina Krahelska

ODGŁOSY

NIEBARDZO MĄDRZY CZYTELNICY

Tygodnik *Świat* (Nr. 35), w artykule wstępnym p. t. „Rzeczywistość polska w oczach naszych czytelników" zamieścił różne na ten temat „opinje". Między innemi zamieszczono bez komentarzy wywód następujący:

„Trzeba sobie uprzytomnić, że bezrobocie jest u nas bezporównania cyfrowo mniejsze, niż u sąsiadów i antypodów; że mamy co jeść i pożywienie zarówno na wsi, jak w mieście kosztuje bardzo tanio; że szerokie masy ludności zadowolone są ze swego losu, co widać z minimalnej ilości strajków, rozruchów, zamachów w porównaniu z innemi krajami. W Polsce istnieje wzorowy spokój, ład, stabilizacja walutowa i polityczna. Nie znamy głodu, epidemji, masowych morderstw. Władze publiczne całkowicie panują nad sytuacją, czego nie można powiedzieć o innych krajach, naprz. Irlandji, Austrji, Jugosławji, Bułgarji czy Hiszpanji dzisiejszej, o Niemczech z przed roku, i Finlandji z przed dwóch lat, że ograniczymy się tylko do Europy. To też winniśmy raczej cieszyć się, że młode państwo nasze drogą jedynie energji a nie gwałtu zapewnia obywatelom bezpieczeństwo życia i mienia, dając im możność spokojnej pracy".

Więc poprostu — idylla... Spokój, ład, głodu niema, wszyscy mają możność spokojnej pracy... To się nazywa — spaść z księżyca. Niewiadomo w jakim celu *Świat* drukuje podobne bzdury.

Jest jednak w tym wywodzie zwrot charakterystyczny: „Szerokie masy ludności zadowolone są ze swego losu, co widać z minimalnej ilości strajków, rozruchów, zamachów"... Tak myśli sporo ignorantów: skoro niema strajków, rozruchów i „masowych morderstw", to znaczy, że masy są zadowolone. Możnaby powiedzieć: oto typowe kryterjum policyjne. Chociaż każdy rozsądniejszy policjant przy ocenie sytuacji społeczno-gospodarczej, jeszczeby zajrzał do innych danych, choćby ze statystyki urzędowej: jak tam z ilością bankructw, samobójstw, przestępstw z nędzy, bezdomnych, bezrobotnych, jak ze stanem zdrowotności, z kwestją mieszkaniową i t. d.

Powtarzamy: sporo ignorantów sądzi, że tam gdzie spokój, tam dobrze. Niema tezy bardziej bezmyślnej i zawodnej.

Inny znowu „myśliciel społeczny" pisze:

„Kronika miejska notuje codziennie wypadki samobójstw. Popełniają je nie młodzieńcy z powodu zawiedzionej miłości, czy przegranej w karty. Dzisiejsi samobójcy to ludzie dojrzali, na stanowiskach,

którzy własną dzielnością potrafili dojść do majątku, wpływów i poważania w społeczeństwie. Obywatele ziemscy, dyrektorzy banków, kierownicy przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych, adwokaci, wyżsi urzędnicy — oto desperaci naszych czasów, chwytający za rewolwer. To kwiat naszej cywilizacji nie może, nie chce przeżyć jej upadku. Ma rację „Świat" — depresja duchowa jest strasznem niebezpieczeństwem społecznem".

Po co to śmieszne zawracanie głowy? Obywatele ziemscy, dyrektorzy banków i t. d. nie dlatego popełniają samobójstwa, że „nie mogą przeżyć upadku cywilizacji", tylko dlatego, że nie mają pieniędzy, których kiedyś mieli bardzo dużo, a teraz nie mogą zdobyć się na inny tryb życia. Rewelację *Świata*, że depresja duchowa jest szkodliwa, trzeba uznać za słuszną, tylko pamiętać należy, że niema lepszego środka na zwalczenie depresji wśród bankierów, właścicieli ziemskich i t. d., niż duża, jaknajwiększa dawka pieniędzy. Ów „myśliciel" natomiast widzi inny środek. Trzeba — powiada — dać tym ludziom jakąś wielką „ideę przewodnią". Ależ, myślicielu, odpowiedzą ci chórem: dziękujemy za wielkie idee, prosimy o kapitał.

Zatrwożony myśliciel woła w końcu: „Czego ma dokonać Naród Polski? — powiedzcie nam!"

Na to *Świat:*

„Pytanie to zbyt ważne i zbyt trudne, byśmy mogli na nie odrazu odpowiedzieć. Ale może znajdą się tacy, którzy zechcą się niem zająć. Łamy *Świata* szeroko dla nich otwieramy".

Świat, owszem, odpowiedziałby na to pytanie, ale „nie odrazu", tylko po dłuższym namyśle... Miejmy też nadzieję, że „znajdą się tacy", którzy „zechcą się zająć" tem pytaniem. Skoro *Świat* dla takich otwiera swe łamy „szeroko", to już teraz zostaniemy szczodrze, mądrze i wspaniale uświadomieni, „czego ma dokonać Naród Polski"...

Niechże redaktor *Świata*, p. Stefan Krzywoszewski, wraz ze swymi czytelnikami, którzy „zechcą się zająć" wielkiem pytaniem, czemprędzej zorganizuje zbiorową i zbawienną odpowiedź...

„BODŹCE PODSKÓRNE"

W tygodniku *Prawda* (Nr. 36), organie przemysłowców łódzkich, znajdujemy artykuł p. t. „Rehabilitacja rózgi"; w którym potępione zostały nowoczesne metody wychowawcze, obywające się bez bicia dzieci. Metody te uznane zostały przez *Prawdę* za „szkodliwy sentymentalizm". Z zadowoleniem i uznaniem przytacza *Prawda* dwa odosobnione głosy ze zjazdu pedagogów angielskich w Londynie, zalecające bicie dzieci: „F. C. Skrubsall stwierdził, że niezbędną ostrożność i odporność życiową najłatwiej można wpoić dziecku zapomocą szybko działających *bodźców skórnych*, czyli — prościej — zapomocą kar cielesnych".

Prawda dodaje: „Ciekawe byłoby usłyszeć głos szerszych sfer pedagogicznych o tych kwestjach". Byłoby „ciekawe", gdyby nie było powszechnie wiadome. *Prawda* jeszcze tego głosu nie usłyszała. Reakcja dużo rzeczy ...nie słyszy i dlatego ponosi srogie zawody i klęski.

O samej kwestji: bić czy nie bić? — w środowisku ludzi inteligentnych i dzisiejszych mówić już poprostu nie wypada.

POKUTUJĄCA NIEŚCISŁOŚĆ

W pismach nadal w związku z oświadczeniem Karola Radka ukazują się wzmianki i artykuły, mające na celu z jednej strony ustalić okoliczności dramatu Stanisława Brzozowskiego, z drugiej zaś — rozproszyć legendy, które tworzyły się przed sprawą i po sprawie. Ostatnio w *Robotniku* Leon Wasilewski zamieścił artykuł p. t. „Sprawa Brzozowskiego a P. P. S.", zamierzając, jak sam zapowiada, ustalić fakty „nie podlegające żadnej wątpliwości". Uczynił to istotnie w sposób wysoce słuszny, zwłaszcza jeśli chodzi o zarzuty, wynikające z rozumowania p. B. Szarlitta, które nb. zostały już prześwietlone w „Epoce", i do których wracać już niema potrzeby. Ale oprócz tego Leon Wasilewski próbuje ustalić pewien fakt, który właśnie podlega wątpliwościom, i to dość poważnym. W artykule tym autor twierdzi mianowicie, że St. Brzozowski uchodził w kołach P. P. S. „raczej za sympatyka socjal-demokracji Król. Pol. i Litwy ze *względu* na stałe współpracownictwo w „Społeczeństwie" warszawskiem Wł. Dawida, popierającem S. D. przeciwko P. P. S." Jest to nieścisłość bardzo poważna. Gdyby sam fakt współpracownictwa w „Społeczeństwie" był dostatecznym powodem zaliczania każdego do rzędu sympatyków socjaldemokracji Król. Pol. i Litwy, — to na tej samej zasadzie wypadałoby zaliczyć do nich nietylko Brzozowskiego, ale i cały szereg innych stałych współpracowników „Społeczeństwa", jak np. Wacława Nałkowskiego, który był wprawdzie niezłomnym wrogiem kapitalizmu, ale do żadnej partji nie należał, pozostając skrajnym indywidualistą, lub Wacława Wróblewskiego, zdeklarowanego zwolennika lewicy P. P. S., Ludwika Kulczyckiego, naówczas przywódcę i teoretyka P. P. S. „Proletarjat", Izę Zielińską, mocno zbliżoną do P. P. S., Czesława Hulanickiego, należącego do niedobitków „Proletarjatu" i t. d., nie mówiąc już o współpracownikach, stojących wogóle poza partjami, jak Janusz Korczak, Wincenty Rzymowski, Leon Choromański i t. d., albo jak Wacław Makowski, który z partjami socjalistycznemi miał tyle tylko wspólnego, że jako adwokat bronił politycznych bez różnicy przynależności partyjnej.

Czuję się w obowiązku, jako jeden z najbliższych współpracowników J. Wł. Dawida, mający wówczas powierzoną sobie całą ważniejszą pracę redakcyjną — oświadczyć ponownie i stanowczo, że „Społeczeństwo", jakkolwiek posiadało *wyraźne* zabarwienie socjalistyczne, jednakże było *ponadpartyjne i bezwzględnie niezależne* zarówno od P. P. S., S. D. K. P. i L., jak i od P. P. S. „Proletarjat".

Nadto w imię objektywnej prawdy stwierdzić tu winienem, i to nietylko na podstawie osobistych wynurzeń Dawida, ale i jego wystąpień publicznych, że J. Wł. Dawid był z ducha i przekonań niepodległościowcem. W Krakowie (1912 r.) otwarcie w odczycie i w drukowanej rozprawie „O duszy nauczycielstwa" mocno to stanowisko umotywował, ogłosił jaknajwyraźniej, że odzyskanie niepodległości uważa za nieodzowny *warunek* nietylko materjalnego istnienia, ale i *moralnego ocalenia narodu**).

---

*) J. Wł. Dawid: *O duszy nauczycielstwa*, wyd. III, i wstęp biograficzny do „Psychologji religji", nakładem „Naszej Księgarni" Zw. Naucz. Pol.

W ówczesnych stosunkach politycznych już to samo wyłączało możliwość jakiejś, „sympatji" lub współpracy z socjaldemokracją Król. Pol. i Litwy, która przecież, jak wiadomo, uznawała programowo organiczne wcielenie Królestwa Polskiego do Rosji.

Twierdzenie zatem Leona Wasilewskiego, że Stanisław Brzozowski, jako współpracownik w „Społeczeństwie" był eo ipso sympatykiem socjaldemokracji K. P. i L. — nie ma żadnych podstaw. Jest to niewątpliwie *lapsus calami*, i wierzyć trzeba, że Leon Wasilewski, znany ze swej ścisłości i nieskazitelności pisarskiej — sprostuje w imię historycznej prawdy zarówno rolę samego „Społeczeństwa", jak i osobistą — jego głównego redaktora, J. Wł. Dawida.

Henryk Lukrec

P. S. Omawiając w *Epoce* znaczenie rehabilitacji St. Brzozowskiego i wymieniając szereg wybitnych obrońców z pośród pisarzy obozu radykalnego, przeoczyłem ówczesne stanowisko Leo Belmonta, który w redagowanem przez siebie *Wolnem Słowie* w sposób jasny i płomienny opowiedział się po stronie oskarżonego. Leo Belmont, śmiały szermierz w obronie Koperów i Knobelsdorfa, autor głośnego listu otwartego od satrapy Stołypina — nie wahał się też bronić straconego, zdawało się, posterunku. Dziś poczucie prawdy psychologicznej Belmonta i jego przekonanie o niewinności oskarżonego znajduje potwierdzenie w rehabilitacji St. Brzozowskiego.

H. L.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

MARJA ANTONINA

Postać i życie Marji Antoniny to temat, który pociągał od blisko półtora stulecia i nadal pociąga setki piór. Nietylko historyków. Ileż na ten temat powieści, opowiadań, utworów scenicznych! Nic dziwnego: w dziejach tego żywota nagromadziło się tyle wydarzeń fascynujących, melodramatycznych i tragicznych, że to raczej jakaś kopalnia tematów. Niektóre epizody z życia Marji Antoniny opisane są w całych tomach, jak, naprzykład, słynna historja z naszyjnikiem królowej. Wszystkie te utwory — jak to zwykle bywa, podzielić można na dwie kategorje: jedne stanowią apoteozę Marji Antoniny lub jej najgorętszą obronę, inne stawiają ją w świetle krytyki nieprzyjaznej, albo wręcz potępiającej. Nie trzeba dodawać, że utwory apoteozujące należały w ciągu XIX stulecia do piór monarchistycznych. Najuboższą ilościowo jest zawsze literatura, nie popadająca w krańcowości kultu albo klątwy w charakterystyce postaci historycznych.

Monografja Stefana Zweiga *) należy do tej właśnie literatury najcenniejszej, najbardziej pouczającej. Już w przedmowie określa Zweig własne tej postaci rozumienie:

„Marja Antonina żyła trzydzieści osiem lat, a przez trzydzieści szła drogą przeciętnej kobiety, jakkolwiek przeżyła je w niezwykłych okolicznościach. Nie przekroczyła ona pospolitości ani w złem, ani dobrem znaczeniu. Była to dusza mała, charakter nieciekawy, a rola, jaką Marja Antonina grała przez długie lata, odpowiednia była z punktu widzenia doniosłości historycznej raczej dla statysty. Bez rewolucji, niszczącej bezmyślny świat jej igraszek, mała arcyksiężniczka z domu Habsburgów żyłaby dalej beztrosko, jak sto miljonów innych kobiet".

Lecz niekiedy rodzi się sytuacja szczególnie dramatyczna, gdy człowiek przeciętny dostanie się w orbitę wielkich losów, które go „przemocą spędzają z legowiska przeciętności". Środkiem tej przemocy jest nieszczęście, które „nawet z marnego materjału wydobywać może najwyższe napięcia, a ze słabej i ospałej duszy potrafi wykrzesać wielką tragedję". Tak też było z Marją Antoniną, która dopiero po wielkich katastrofach i przed samą śmiercią wzniosła się na wyżyny dumnego bohaterstwa. Kontrast pomiędzy nieciekawą treścią wewnętrzną jednostki a wielkością i bogactwem wydarzeń dziejowych, w jakie została wprzęgnięta, jest w dziele Zweiga wydobyty w sposób zaiste mistrzowski.

Zweig trzyma się wiernie następującego nakazu: „Najwyższym nakazem twórczej pracy nad poznaniem duszy ludzkiej nie jest ubóstwianie jej, lecz dostrzeganie w niej cech człowieczych i nie szukanie z pomocą sztucznych argumentów usprawiedliwień dla jej postępków, lecz ich wyjaśnienie. Cel ten przyświecał mi przy przedstawieniu tego przeciętnego charakteru, który swój wpływ, trwający poprzez długie lata, zawdzięczał jedynie niezwykłemu przeznaczeniu, a wzniesienie się na wyżyny — nadmiernemu nieszczęściu".

Jeśli się mówi, że pracę historyczną, że poważne dzieło można czytać, jak najwspanialszy romans, to tak właśnie powiedzieć można o tej książce Zweiga. Każdy rozdział, każda stronica niemal — to nieustanne narastanie akcji fabularnej i psychologicznej, ów właśnie walor, który trzyma uwagę czytelnika w napięciu.

Przy czytaniu opisów życia ludzi ukoronowanych uderza nas zawsze różnica czasów: nie jest już rzeczą możliwą, żeby drobne wydarzenia w gabinecie, buduarze czy sypialni na dworach królewskich mogły mieć tak doniosłe znaczenie polityczne, jak miały niegdyś. Kłótnia dam dworu, niesympatyczny wygląd posła obcego mocarstwa, intryga miłosna, brak apetytu króla czy królowej, usposobienie ministra, słowo niezręczne na przyjęciu dyplomatycznem i t. d. — wszystko to niegdyś były rzeczy ważne, znaczące, wpływające na bieg politycznych wydarzeń. Stąd — badania tych szczegółów i szczególików. W naszych czasach te sprawy nie wpływają w sposób tak silny na życie polityczne świata, przeszły do kategorji spraw błahych. To, co kiedyś intrygowało i niepokoiło t. zw. „opinję Europy", dziś nie wzbudziłoby zainteresowania. Naprzykład: trwająca siedem lat impotencja seksualna Ludwika XVI i siedmioletnie dziewictwo Marji Antoniny — to była wielka sprawa polityczna i dyplomatyczna, sprawa następstwa tronu, w której zainteresowani byli — poza braćmi Ludwika XVI — bezpośrednio, również wszyscy możni ówczesnego świata — pośrednio. To też po niepokojących pierwszych po ślubie siedmiu latach, wiedziano niemal z dokładnością minuty o pierwszem, skutecznem zbliżeniu się fizycznem pary królewskiej.

I rzeczy stokroć drobniejsze w prywatnem życiu panujących wpływały na bieg historji. „Z pajęczyny drobnych wydarzeń — pisze słusznie Zweig — snuje historja nieuniknioną sieć losu; w jej przedziwnie

*) *Stefan Zweig:* Marja Antonina. Z ilustracjami. Przekład Zofji Petersowej. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa, 1933 r.

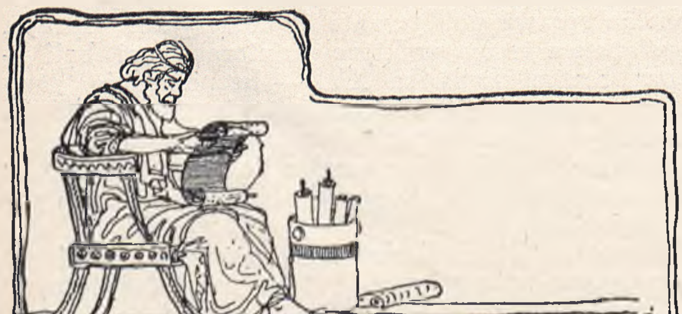
złożonym mechanizmie najmniejsze kółko napędowe zdolne jest wyzwolić największe siły". Niewątpliwie. Trzeba jednak te drobne sprawy, wypadki, przypadki, zbiegi okoliczności i t. p. ostrożnie mierzyć i wymierzać, trzeba zarazem wciąż pamiętać o wszystkich *innych* źródłach wydarzeń i sprężynach dziejów, żeby owym najdrobniejszym nie przypisać przesadnie dużego znaczenia. Stefan Zweig popada niekiedy w tego rodzaju przesadę. Marja Antonina odnosiła się z pogardą dla kochanki Ludwika XV-go, madame Dubarry. Przez szereg lat nie odezwała się do niej ani słowem, mimo nalegań posła austrjackiego, Mercy'a, mimo nawet nalegań matki, cesarzowej austrjackiej, Marji Teresy, która w tej sytuacji widziała groźną komplikację w stosunkach Austrji i Francji. Bo jakże: b. arcyksiężna austrjacka, następczyni tronu francuskiego nie chce odezwać się do faworyty króla Francji! I to w czasie, kiedy cesarzowa Austrji ma tyle zmartwień ze strony Fryderyka Wielkiego i Katarzyny! Wreszcie — po wielu, wielu zabiegach i perswazjach Marja Antonina — odezwała się. Podczas wielkiej defilady, w obecności całego dworu, raczyła powiedzieć do madame Dubarry te słowa „wywalczone, niesłychane, brzemienne w następstwa": „Dużo osób zebrało się dziś w Wersalu". I tu pisze Zweig: „Jednak kilka tych banalnych słów ma głębsze znaczenie. Przypieczętowano niemi wielką polityczną zbrodnię: kupiono za nie milczącą zgodę Francji na podział Polski. Za pomocą tych słów nietylko madame Dubarry, ale Fryderyk Wielki i Katarzyna przeprowadzili swoją wolę i nietylko Marja Antonina została poniżona, lecz cały naród polski".

Przesada, szalona przesada! Śmiemy sądzić, że i bez tego „przypieczętowania", bez tej „pomocy" nastąpiłby zbrodniczy rozbiór Polski. Działały tu przyczyny inne, ważniejsze w tej sprawie, niż antypatja Marji Antoniny dla pani Dubarry.

W kilku miejscach znakomitego zresztą dzieła Zweiga natykamy się na takie wilcze doły przesady, które rażą i rozpraszają skupienie przez odruch sprzeciwu ze strony krytycznego czytelnika.

Dzieło to wzbogaca najlepszą współczesną literaturę biograficzną i mimo wspomniany mankament — niesie przystępną pomoc w rozumieniu wielkiego rozdziału historji, tak nasilonego w wydarzenia niezwykłe. „Gdy rzeczywistości — pisze Zweig — uda się niepospolity pomysł, a przytem stanie się to w dzień intensywnie twórczy, potrafi ona zakasować wszystkie fantazje i przewyższyć kunsztownem zawikłaniem wypadków najpomysłowszego pisarza". Lecz wnikliwe i plastyczne odtworzenie tej „pomysłowej" rzeczywistości wymaga pióra tak niezwykle utalentowanego, jak pióro Zweiga.

Słowo uznania należy się p. Zofji Petersowej za świetny przekład. *M. Czarnowski*



FILM

„DON KISZOT" W KINIE „MAJESTIC"

Ponura i bezlitosna rzeczywistość a fanatyczna w swej odwadze postawa marzyciela, który wyrusza na bój wbrew nakazom rozsądku — to dwa bieguny, między któremi szarpie się, snuje i targa życie Don Kiszota z La Manszy. Nienasycone jego serce walczy uporczywie z uciskiem rzeczywistości. Nie poddaje się życiu do chwili ostatecznego z niem rozstania. W postaci Don Kiszota utrwaliło się piękno rozpętanej fantazji, marzycielstwa, które nie uznaje kompromisu. Tragedja rodzi się tu z rozdźwięku i rozstępu między prozą powszedniości, a marzeniem, które podejmuje walkę z złem i niesprawiedliwością świata.

Don Kiszot nie odnajduje w realnem życiu równoważnika dla swych pragnień. Boryka się z naporem brutalnych zdarzeń, przeocza zresztą ich istotny sens dalekosiężnem spojrzeniem fantasty. Rzeczywistość mści się, wymierza cios za ciosem. Marzenia muszą runąć. Ze zderzenia codzienności z bujnym i pozbawionym kalkulacji światem pragnień rodzi się tragedja donkiszotyzmu.

Ci, którzy potępiają donkiszotyzm, operują przedewszystkiem argumentem o organicznym braku poczucia rzeczywistości u „błędnych rycerzy z La Manszy". Krytyka taka przeocza — i to najczęściej celowo — inne, twórcze oblicze donkiszotyzmu: jego bojową wiarę w moc ideału, jego „nierealną" waleczność. Przeoczają „realiści" wyśmiewający symboliczną walkę z wiatrakami, prawdę, że bezkompromisowość i opozycja życiowa marzyciela z La Manszy jest jedną z dróg przezwyciężania rzeczywistości. Klęskę śmieszności, poniesioną za życia, nagradza często patos pośmiertnego zwycięstwa, tak, jak wczorajsze herezje stają się prawdą jutra.

Don Kiszot pozostanie tragicznym symbolem ludzi, którzy zapatrzeni w gwiazdy, nie widzą zagradzającej drogę przyziemności; są to postaci, skazane na wymarcie. Pozostaje jednak drugi symbol Don Kiszota: postać opozycjonisty, który zna ustawiczną walkę z życiem, lecz nie zna kompromisowej ustępliwości i poddania się. Te postawę, której towarzyszy wieczysty rozdźwięk pomiędzy prozą powszedniości, a poezją pragnień, zachować musi ludzkość na drodze postępu i zmagania się z rzeczywistością, by nie zgnuśnieć wśród myślowego i duchowego grzęzawiska sanszo-panszyzmu.

Wersja filmowa „Don Kiszota" w reżyserji Pabsta nie spłyciła ideologji, ani atmosfery legendy Don Kiszota. Wiernie rekonstruuje epokę. „Opozycję życiową" Don Kiszota doskonale oddaje obecne w każdym fragmencie taśmy, silne skłócenie kontrastów: ustawiczne podkreślanie banalności i śmieszności, która wlecze się za wyniosłą postacią z La Manszy Dynosanse sytuacyjne są trzonem reżyserskiej techniki Pabsta w „Don Kiszocie". Kompozycja postaci bohatera jst oparta na grze kontrastów, ciągłych zderzeń wzniosłości i marzenia z naporem codzienności.

Don Kiszota, odtwarza Szalapin. Talent śpiewaka operowego groził przeteatralizowaniem roli. Kreacja Don Kiszota dowodzi jednak paradoksalnego niemal wykorzystania owego niebezpieczeństwa szarży: Szalapin podparł powściągliwą dozą teatralności — patos i koturnowość odtwarzanej postaci.

Potężną wymowę ma końcowa scena filmu: palenie ksiąg, z których wyczarował Don Kiszot swój fantastyczny, heroiczny świat. Karta za kartą zwija się w żarze... Stronice kurczą się i czernieją.. Spopielone karty przesłaniają cały ekran... To pierwsza część auto-da-fé... I oto następuje część druga. Płomienie powoli gasną. Popielisko wraca do życia... Dzieła odżywają. Czarny pył przeistacza się powoli w biel zmartwychwstałych kart „Don Kiszota". Widownia zrozumiała przedewszystkiem tę scenę, jako aktualną aluzję do niedawnego auto-da-fé na placu opery berlińskiej. Reżyser Pabst, Niemiec—emigrant („Don Kiszota" zrealizował we Francji), pomyślał niewątpliwie tę scenę, jako aluzję.

Wierną postać Sanszo-Pansy stworzył Dorville. Artystyczna fotografja operatora Farkasa dała szereg doskonałych zbliżeń i świetnie pomyślane zdjęcia w scenie walki z wiatrakami.

J. Szpecht

GŁOS MŁODZIEŻY

Godny uwagi artykuł ukazał się w tygodniku *Państwo Pracy* (Nr. 28), organie Legjonu Młodych. Tytuł: „Zrywamy z moralnością mieszczańską". Ujęcie sprawy słuszne i etyczne: wolności seksualnej powinna towarzyszyć troska o dobro drugiego człowieka. Innemi słowy chodzi o wolność, ograniczoną poczuciem odpowiedzialności i obowiązku. Taki jest też sens istotny moralności świeckiej.

Przytaczamy z *Państwa Pracy* ważniejsze urywki:

„Prostytucja, stosunek do której jest wyrazem moralności seksualnej w dzisiejszym ustroju, jest bardzo stara i przez wieki towarzyszy instytucji, której założeniom zdawałaby się przeczyć: rodzinie monogamicznej.

„Tworzy bowiem prostytucja nieodstępne uzupełnienie, jakby podmurówkę tej rodziny: gdy rodzina, powstając, zadowolniła pęd mężczyzny do posiadania kobiety na własność, bez żadnych zastrzeżeń i do przekazywania dziedzictwa własnemu potomstwu — prostytucja, z drugiej strony, zadawalnia pęd mężczyzny do wyżycia się w dziedzinie seksualnej, do zmiany kobiet, urozmaicenia przeżyć płci i t. d.

„W ramach moralności mieszczańskiej wszystko jest w porządku: młody mężczyzna korzysta z usług erotycznych kobiet z klas t. zw. niższych, uboższych, żony sobie poszuka w swem środowisku, w czasie małżeństwa dopełniać może swe życie seksualne w drodze wyzyskiwania znowuż kobiet, z któremiby się nie ożenił.

„Klasycznym przykładem tego rodzaju załatwiania rzeczy jest genjalnie uwieczniona przez Zapolską „Moralność Pani Dulskiej": wypieszczonemu synkowi-paniczowi podsuwa, rezerwuje, zabezpiecza mamusia ładną służącą, aby, idąc do płatnej, zawodowej prostytutki, nie pokpił zdrowia; gdy zaś dziewczyna zajdzie w ciążę lub gdy zdarzy się już dla synka okazja dobrej partji małżeńskiej, usuwa się dziewczynę precz, zostawiając jej łaskawie otwartą i wolną drogę do zawodowej prostytucji, gdyż jako człowiek nie wchodzi ona w żadną rachubę.

„Uważamy za normalne, wskazane i słuszne, żeby młodzi ludzie kochali się, żyli ze sobą, a w sprzyjających warunkach gospodarczych, skoro stosunek zapowiada się trwalej, mieli ze sobą dzieci.

„To omówienie sprawy dzieci jest niezbędne i będziemy tu jeszcze nieraz do kwestji dziecka powracali, gdyż jest to dla nas rzeczą całkiem jasną, iż bynajmniej nie z każdego stosunku i nie ze wszystkich związków pomiędzy mężczyznami i kobietami powinny wynikać dzieci: regulacja urodzeń, jaką propaguje i o jaką walczy w Polsce Boy, była zawsze stosowaną w klasach uprzywilejowanych, posiadających, broniono jej tylko stale dostępu do klas upośledzonych, t. zw. niższych, które musiały płodzić się nieograniczenie dla celów tamtych klas.

„W wypadku, gdy stosunek pociąga za sobą dla kobiety konsekwencje — czy to w postaci ciąży, czy też głębokiego zaangażowania uczuciowego, — legjonista powinien czuć się jednakowo zobowiązanym do poniesienia tych konsekwencyj w stosunku do dziewczyny z proletarjatu, jak do córki ministra, generała, właściciela dóbr czy koncernu: utrwalić stosunek, skoro tego potrzebuje dana osoba, zabezpieczyć imię jej dziecku, póki te rzeczy nie uległy rewizji, zabezpieczyć ją samą od nieżyczliwej reakcji społeczeństwa czy w drodze zalegalizowania stosunku, czy w drodze pozostania przy niej w ramach wolnego związku, to już zależnie od zapatrywań, okoliczności, warunków rodzinnych, miejscowych i t. p.

„I tu zasadniczą jest rzeczą, że nie wolno legjoniście traktować różnie kobiet z różnych środowisk społecznych i odmawiać np. dziewczynie z ludu legalizacji związku, dlatego właśnie, że innem jest jej środowisko.

„Wiemy doskonale, że często w tych wypadkach młodzi ludzie ulegają naciskowi ze strony rodziców, rodziny, rozumującej i czującej wszystko w kategorjach mieszczańskich: legjonista powinien umieć przeciwstawić się takim wpływom rodziny.

„Bierzemy bowiem rozbrat z nakazami tej moralności, która pozwalała „uwodzić" bezkarnie dziewczęta z ludu, otaczając jednocześnie przesadnym kultem sprawę dziewictwa panien z klas uprzywilejowanych: córka sztygara, chłopa, równie jak córka magnata i ministra — gdy stosunek miłosny powoduje dla nich konsekwencje — powinna być potraktowana jednakowo.

„Jest rzeczą oczywistą, że przebudowa naszej psychiki i urabianie jej podług zasady ideologji młodolegjonowej, pójdzie łatwiej i prędzej, kiedy już zgóry nastąpią zarządzenia państwowe, regulujące sprawy związków między mężczyznami i kobietami, sprawy dzieci na nowych podstawach, odpowiadających wymaganiom współczesnego życia.

„Ale takie zarządzenia nie poprzedzą chyba zmiany ustroju gospodarczego i społecznego. Do tego zaś czasu musimy czynnie i nieustępliwie przeorywać bruzdy w naszej psychice, w naszych pojęciach i w praktyce naszego życia — w myśl założeń naszej ideologji Państwa Zorganizowanej Pracy".

***

W tym samym n-rze *Państwa Pracy* znajdujemy dwie ilustracje: fotografje rodziny bezdomnej, mieszkającej od pół roku w lesie (w Solcu Kujawskim). I komentarz:

„Pierwsze zdjęcie robi wrażenie raczej jakiejś dekoracji teatralnej, której zadaniem jest wyobrażać osiedle dzikich. Drugie zdjęcie przysporzy miłych wzruszeń księdzu Choromańskiemu i innym filarom Narodowej Demokracji w szeregach duchowieństwa: sześcioro dzieci! Oto jak się rozmnażamy! Na pohybel Boy'owi! Nie stosujemy regulacji urodzeń!..."

NAMIĘTNOŚCI NAUKOWE*)

Jakkolwiek w samem już zestawieniu pojęć nauki i namiętności tkwi coś nakształt chłodnego żaru lub szalonego namysłu, jednak — istnieją bezwątpienia namiętności naukowe, jak istnieją płonące ciecze, światło niewidzialne, nieświadoma celowość i tym podobne dziwne aliaże. Mowa o namiętnych zamiłowaniach do tych lub innych funkcyj naukowych. Czy możnaby rzec poprostu — do badań lub: do rozwiązywania zagadnień? Nie sądzę. Przedewszystkiem — mógłby ktoś podpowiedzieć — dlatego, że niekażde, nawet wzorowo postawione, pytanie jest pytaniem naukowem, jeżeli przez naukowość rozumieć bądź należenie do dziedziny ogólno-ludzkich zainteresowań, bądź sprawdzalność publiczną rozstrzygnięć, bądź prawo do miejsca w podręczniku szkoły wyższej. Jednakże każde z powyższych kryterjów pozwala posunąć granicę naukowości tak daleko, jak się komu podoba, boć niema rzeczy dość błahej i zdawkowej wogóle, któraby nie mogła stać się ośrodkiem uniwersalnej ciekawości po ujawnieniu niespodzianych, a zawsze tak czy owak obecnych związków z rzeczami powszechnie ważnemi. Cóż może być bardziej prywatnego nad wesz? A ileż na nią poluje dzisiaj naukowych mikroskopów, odkąd się okazała specyficzną komiwojażerką duru plamistego. Miała zresztą już dawniej, przed dwustu przeszło laty, swój okres świetności, kiedy zauważono, że oko dorosłej wszy, ze względu na stałość rozmiarów, może funkcjonować w roli wzorca mierniczego dla mikroskopowych żyjątek. Co się zaś tyczy sprawdzalności publicznej, to gdyby nie patrzeć na takowe kryterjum przez szpary, trzebaby odmówić naukowości wszystkim twierdzeniom psychologji właściwej, czyli zawierającej choć szczyptę doświadczenia wewnętrznego. A gdzie sprawdzalność publiczna dawnych zeznań zgasłego pamiętnikarza? Historyk jednak, naukowiec, wznosi na nich swoje konstrukcje, których ambicją jest — być właśnie jeno rekonstrukcjami... Z drugiej strony publicznie sprawdzić można fakt całkiem prywatnego niedotrzymana umowy, jeżeli i u rejenta była sporządzona i notorycznie naruszona. Podręcznik akademicki wreszcie i jego zawartość... Zależnie od rozmiarów znajdzie się w takim podręczniku więcej lub mniej, a rozmiary, zależnie od rozmaitości celów, bywają rozmaite: od małej książeczki do wielotomowej encyklopedji danej gałęzi wiedzy. Że zaś w wykładzie nauki podaje się nietylko uogólnienia, teorje, hipotezy, lecz i opisy faktów, przytaczanych bądź dla uzasadnienia, bądź dla ilustracji, każdy zaś fakt do któregoś z takich celów się nadaje, przeto nie widać barjery, za którą mieścićby się miały zdania prawdziwe, zasadniczo nie naukowe, parjasy jakieś bez prawa wstępu do świątyni. Jeżeli te a te problematy, te a te prawdy, w tej a tej konjunkturze zaliczamy do nauki, inne zaś pozostawiamy poza jej obrębem, to dzieje się tak wyłącznie z powodów nie zasadniczych, zmiennych wraz ze zmianą aktualności. Są to względy ekonomiczne, techniczne i t. p., jak np. brak miejsca w kompendjum, obliczonem na 20 arkuszy, zbyt daleki numer w ogonku zagadnień, ustawionych wedle stopnia ich przewidywanej doniosłości lub wedle stopnia ich charakteru palącego na teraz etc. etc. W zasadzie do nauki należy każde poprawnie postawione pytanie i każda dostatecznie uzasadniona odpowiedź. Demokratyczność w rzeczypospolitej twierdzeń sięga jeszcze dalej: nie dość bowiem, że każda kwestja sensowna lub teza rozważna jest obywatelką tej rzeczypospolitej, ale, co więcej, każda przy nadarzonej sposobności może w niej zająć poważną pozycję. Nawet to, po ile groszy Franeczka Sasinówna sprzedała kopę jajek Moszkowi Grynbergowi na targu w Jadowie, przyda się i do statystyki i do teorji wahania cen i do demografji, choćby jako autentyczny przykład, konkret, przyłapany na gorącym uczynku istnienia. Papyrolodzy hołubią dzisiaj, jak najpiękniejsze perły pierwszej wody, notatki tego rodzaju, wydobyte z prastarych aleksandryjskich śmietników. Jeżeli więc nie utożsamiamy tutaj funkcyj naukowych z rozwiązywaniem zagadnień, to nie dlatego, byśmy chcieli podkreślić różnice między zagadnieniami z punktu widzenia ich naukowości, lecz dla innego powodu. Mianowicie oprócz poszukiwań odpowiedzi na postawione pytania bywają inne jeszcze czynności naukowe, wobec tamtych pomocnicze, jako to wydzielanie objektów, pod danym względem ważnych, z obojętnego środowiska, gromadzenie jednorodnych, porządkowanie ich, obliczanie, szereg zabiegów manipulacyjnych i konstrukcyjnych, potrzebnych do konserwacji, preparacji, eksperymentów, pokazów, odwzorowywanie, urabianie nomenklatury, opisywanie, wykładanie, zapamiętywanie, uczenie się, sporządzenie bibljografji, katalogów, indeksów i t. p.

Otóż zdarzają się ludzie, owładnięci pasją do jakiejś funkcji naukowej. Nader szczęśliwie się składa, jeżeli zamiłowanie tego rodzaju znajduje realizację i podnietę zarazem w zawodzie danej osoby. Częstokroć jednak komuś wypada trudnić się zawodowo czemś bardzo odległem, a namiętność niezaspokojona szuka sobie wówczas dróg ubocznych. Uprzytomnijmy sobie kilka takich autentycznych przypadków. Lekarz podczas studjów uniwersyteckich przejął się ideą transplantacji. Potem, ożeniwszy się z właścicielką ziemską, zarzucił medycynę. Administruje dużym majątkiem, czego serdecznie nie lubi, prowadzi gospodarstwo rybne, bez zadowolenia dla duszy; natomiast przywarł jakoś do jednego zagadnienia, nie mającego bynajmniej odpowiedniego waloru w planie ekonomicznym: próbuje zabezpieczyć od mrozów szlachetne gatunki jabłonek przez uodpornienie. Zauważył, że cierpią i giną przedewszystkiem drzewa ranne, z oddartemi płatami kory. Obiera tedy młody pęd, wyrastający z korzenia przy pniu od strony ubytku, przygina go i przywiązuje do drzewa. Latorośl wrasta w starą jabłoń, rana się zasklepia, drzewo nabiera sił, wytrzymuje ostrą zimę... Lekarz wynalazł metodę leczenia... drzew i leczy je sposobem... transplantacji. Dziś już jest sławny i zjeżdża się doń młodzież ogrodnicza po wiedzę. Wydała też plony korespondencja specjalna, którą nawiązał z pomologami krajów północnych, zwłaszcza Kanady. Metoda poszła w świat. Ten

*) W n-rze 2-gim czasopisma p. n. „Służba nauce" ukazał się znakomity artykuł prof. Tadeusza Kotarbińskiego. Z upoważnienia autora zamieszczamy przedruk tego artykułu.

sam niezwykły człowiek miał jeszcze jedną namiętność naukową. Zraziwszy się do mechanicznego poglądu na świat, właściwego naogół medycynie, zapłonął wielkim afektem do wyzwoleńczych w tym względzie pomysłów Bergsona i postanowił przegryźć się przez płątawę tekstów tego zagadkowego stylisty. Uparł się, że przełoży na język polski jedno z zasadniczych jego dzieł i dokonał przekładu z najwyższym wysiłkiem i z rzetelnem powodzeniem... Trzeba było słuchać doktora w okresie tej namiętności. Rozpalał zaciekawienie, jak płomień, szukający paliwa, i nowe płomienie w niem budzący. — A oto inny typ: zamiłowany systematyk, z zawodu oficer biurowy. Znany był od dzieciństwa pośród bliskich z niezwykłego zapału do inwentaryzacji. Katalogi, wykazy — to były przedmioty jego westchnień. Umiał pono napamięć całe stronice rozkładu pociągów... Ale, rzecz osobliwa, indeks musiał dotyczyć ludzi lub wytworów ludzkich. Mógł to być naprzykład przegląd wszelkich odmian orderów... zapewne i guzików... ale stanowczo nie przegląd owadów tęgopokrywych lub traw, rosnących w Polsce... I w tym przypadku namiętność zrodziła czyn: powstał za jej podszeptem cenny słownik encyklopedyczny, obejmujący biografje i wykaz dzieł mistrzów pewnej specjalności praktycznej, w kraju ongi czynnych. Przyrodnicze natomiast objekty wyróżniała zapewne żyłka kolekcjonerska pewnego jegomościa ze wsi, który włożył nieobliczalną ilość trudu w sporządzenie wykazu, opisów i podobizn naszych leśnych grzybów kapeluszowych. — Warto zanotować wreszcie przykład rozwoju dociekliwości namiętnej. Byłem sobie prawnikiem i urzędnikiem — opowiada pewien oryginał — i nudziłem się śmiertelnie. Życie mi brzydło z nudów i poczucia pustki. Alić pewnego razu wyczytałem w gazecie zapowiedź odczytu na temat: „Czy żyjemy po śmierci?" Pomyślałem, że dobrzeby było posłuchać. Poszedłem — i przystałem do okultystów. Ci jednak przemawiali niezrozumiale, więc obudziła się we mnie chęć zgłębienia ich słów i symbolów. Zacząłem się rozczytywać, opanowałem przedmiot, zrozumiałem całą fantastyczność doktryn okultyzmu, teozofji, antropozofji, spirytyzmu, lecz jednocześnie zrozumiałem i to, że wyrastają one na podłożu niezwykłych faktów życia psychicznego. Teraz palę się do naukowego badania tych faktów, do naukowej parapsychologji, a w związku z tem ślęczę nad podstawowemi pojęcia psychologji ogólnej. To mnie zaciekawia bajecznie.. Mimo, że zawód mój nadal nie ma z tem nic wspólnego, życie jest dzisiaj dla mnie bardzo zajmujące.

Nic dziwnego! Wszak życie musi się stać zajmującem dla każdego, kto zdołał się do czegoś zapalić. Gorliwcy w rodzaju powyższych — to zadanie rozwiązali stanowczo i niezależnie od tego, czy z powodzeniem, czy bez powodzenia rozwiązują zadania poszczególne, do których się palą. Uczynili życie własne zajmującem. Bo wystarczy wiedzieć zgóry od rana, że po skończonej szarzyźnie codziennego obowiązku będzie się miało coś ciekawego wieczorem, by cały dzień cieszyć się na to. Żyje się wtedy wogóle żywiej i wszystko, co robimy, staje się bardziej zajmującem. Skorzystał z tego związku pewien rozumny człowiek, palacz zawołany, gdy mu lekarze kazali ograniczyć palenie do połowy. Powiedział sobie: zaczynam od piątej popołudniu! Przez drugą połowę dnia podniecał się nikotyną, przez pierwszą połowę — podniecał się nadzieją. A jeszcze lepszy sposób, bo zdrowszy, zastąpić nikotynę obcowaniem z interesującemi kwestjami. Dlaczegóż tak nie czynią wszyscy? Dla różnych zapewne powodów. Toż przecież ów pomysł palenia dopiero od piątej, choć bardzo prosty, uchodzi, gdy o nim opowiadać, za dowcipny pomysł. Najprostsze dyrektywy względnego szczęścia pozostają częstokroć niezauważone, podobnie zresztą, jak pewne leżące niejako na wierzchu prawa przyrody. Jak długo trzeba było czekać, zanim odkryto jednostajność ruchu bezwładnego! Dalej, wiele osób szuka ożywczych dreszczów w czem innem, np. w rozrywce, rozproszeniu, poddawaniu się tokowi wrażeń, naleciałemu zzewnątrz. Inni — oddają się grom. Inni znowu czytają „coś lekkiego" lub gwarzą o czem popadnie. Jeszcze inni wyżywają swój instynkt walki w sporach politycznych etc. etc. Ale jest spory poczet ludzi nudzących się, mimo, że nie chcieliby się nudzić. Otóż nudzić się może tylko ten, kto sam jest nudny. Ten bowiem tylko nudzi się sam z sobą. Nuda zaś jest objawem przymdlenia twórczości, znamieniem wewnętrznego automatyzmu. Trzeba ją leczyć tak, jak się leczy depresję znużonych neurasteników. A wiadomo, że lekarze, oprócz rozmaitych hydroterapij, pigułek z krwi baraniej i innych podobnych specjałów, stosują też leki psychiczne. Radzą, by starać się wzbudzić w pacjencie jakąś „pasję podniosłą" („une manie sublime"). Ludzie, opanowani naukową namiętnością, bez porady lekarza sami się leczą w ten sposób. Czy zresztą leczą się? Częstokroć nie potrzebują kuracji, bo nie są chorzy. Mają na zapas i zgóry porcję wystarczającą swojej pasji podniosłej, która im starczy za arszenikowe zastrzyki i sm kołyki z witamin.

Doprawdy, godna to trudu psychologów zagadka, skąd się biorą te zbawienne namiętności. Bo na tem, co sami ludzie mówią o własnych motywach, poprzestać nie można. Poważny starszy pan zbiera, przechowuje, porządkuje ulotki polityczne. Powiada, że będzie z tego prezent dla potomności, że to da przyszłemu historykowi materjał w skrótowem zestawieniu. Zgoda. Ale wolno podejrzewać, że właściwie zbiera on ulotki dlatego, dlaczego inny kolekcjonuje... łyżki i dlaczego, w latach sztubackich, zbierał marki pocztowe, a przedtem nosił pełne kieszenie kamyków, guzików i innych drobnych przedmiotów... Znałem takiego malca, który gromadził i ustawiał na półce wszelkiego rodzaju szklane pieski. Gdy zaś skrupulatny amator zbiera bibljotekę broszur specjalnych, kataloguje ją pilnie, a przytem (jakże częsty to zespół!) nikomu tknąć jej nie pozwoli — czyż mamy zaraz uwierzyć, że wszystko to tylko po to, by bez przeszkód i w sposób wyczerpujący opracować monografję? Czy nie narzuca się raczej nieodparcie obraz epileptyka, który czuwa troskliwie nad swym tobołkiem drobiazgów, obrazków, przedmiocików i robi wściekłe sceny, ilekroć służba szpitalna poważy się sięgnąć po używany kołnierzyk, by mu go zabrać do prania. Grają w nas dziwne, odwieczne, tajemnicze instynkty, dziedzictwo czasów zamierzchłych. Jesteśmy jak oswojone wiewiórki, które jesienną porą gromadzą orzechy i chowają w ciemny kąt, same nie wiedząc, dlaczego i po co, choć zima im nie grozi w ciepłem mieszkaniu. Przypominamy owego świstaka górskiego, któ-

ry się chował u gazdy, ale robił swoje wedle kanonu przodków, po tatrzańsku: wchodził na strych, rozglądał się dokoła i świstał ostrzegawczo, ilekroć zbliżał się ktokolwiek. Gdyby koguta uspołecznionego i refleksyjnego zapytać, czemu pieje o północy, odpowiedziałby zapewne, że robi to w tym celu, by meldować czas czynnikom miarodajnym w gospodarstwie. Podszywałby się pod zegar, który naprawdę bije w tym celu i któremu możnaby uwierzyć, gdyby tak zeznawał. Ale kur myli się napewno. Dlaczego pieje o północku, nie wie ani on sam, ani kogutolodzy. Pytanie doprawdy, czy nie ta sama w gruncie rzeczy emocja kolekcjonerska rodzi Harpagonów i Linneuszów, czy ta sama żyłka do izolowania własnego drobnego gospodarstwa nie tłumaczy upodobań porządnickiego nieużytka i inicjatora zbiorów muzealnych, czy nie ta sama obrona wewnętrzna przed organiczną dezorjentacją (zna ją niejeden ze wspomnień młodocianych) stwarza systematyków racjonalnych, urabiających poglądy na świat, i pomylonych manjaków, robiących to samo w sposób dziwaczny, jak np. ów autor traktatu o smakach (wszystko dla niego tłumaczyło się kombinacjami smaków, np. wrzenie wody i fazy księżyca).

Nic w tych domysłach niema destrukcyjnego. Wiatr może zrywać dachy lub obracać młyny. Porywy z praczasów (a pośród nich może jeszcze chętka konstrukcyjna, niby u pszczół czy bobrów i popęd łowiecki i włóczęgostwo, nurtujące w człowieku osiadłym) — to wiatry, którym każemy obracać koła naszych młynów i młynków. Wartość społeczną, doniosłość kulturalną nada im wybór mielonego ziarna. Możemy zaprząc instynkt walki i pęd w dal do służby nauce: zadziwiają wtedy i cześć budzą odkrywcy krajów polarnych, zmagający się z mrozem i lodem w dalekich podróżach.. A nie kłamie bynajmniej ochotniczy uczestnik egzotycznej wyprawy, deklarując, że przedsięwziął swą podróż dla Polski czy dla Nauki, by zdobyć rzadkie materjały do opracowania w krajowych pracowniach; podobnie jak nie kłamie wyrostek, zapewniając, że zbiera marki, „by wykupić Chińczyka z niewoli". Obaj bowiem szukają i znaleźli uzasadnienie programowe dla czynów, genetycznie uzasadnionych inaczej. Różnica w tem, że projekty wyrostka nie są trwalsze od domków z kart, a decyzje uczonego podróżnika dają rzeczowe efekty. Może ich dać — i daje już bardzo wiele — działalność amatorów, ogarniętych tą lub inną pasją naukową. Zalicza się ich często do „dziwaków"... Zapewne dawniej takiem samem okiem spoglądano na nielicznych czytających książki. Dziś czyta każdy normalny obywatel cywilizowanego kraju... Jutro co drugi może pójść w ślady „dziwaków"... Jutro, kiedy maszyna i organizacja pozwolą zredukować pracę zawodową do minimum, przyjdzie może czas na swobodną grę namiętności naukowych. Bezcenne to namiętności! Nie wyczerpują, nie otępiają, nie oślepiają, nie prowadzą do przesytu ani cierpień następczych. Działają raczej wprost przeciwnie... Owładniętej taką pasją monadzie otwierają się oczy na pewną prawdę jasną i ożywczą: że rzeczywistość jest bez miary zajmująca, a możliwości poznania nie mają granic.

Prof. Tadeusz Kotarbiński

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Trzysta czterdzieści specjalnych pociągów zdążało na zjazd partyjny w Norymberdze. Olbrzymie tabory, bataljony bronzowych oddziałów szturmowych S. A. i czarnych sztafet ochronnych S. S., kuchnie polowe, zmotoryzowana żandarmerja — rozłożyły się wokół miasta tysiącami namiotów. Sześćset tysięcy uczestników. Miasto tonęło w powodzi flag hitlerowskich. Czterodniowe manifestacje partyjne były widowiskiem zmobilizowanego fanatyzmu, planowo wdrażanego do militarnej gotowości. Tannenberg, Niederwald, Norymberga to kolejne etapy przygotowania psychicznego, urabiania mas i wprawiania ich w stan trwałego transu szowinistycznego. 49-tą rocznicę zwycięstwa, odniesionego nad armją rosyjską pod Tannenbergiem obchodzono pod hasłem—„parcia na wschód". Demonstrację „wschodnią" uzupełnił Hitler enuncjacjami w nadreńskiej miejscowości Niederwald. Kanclerz przesądził zgóry wynik plebiscytu, jaki odbędzie się za dwa lata dopiero i rozstrzygnie o przynależności Zagłębia Saary. Hitler wymienił dwie niemożliwości: sprzeczne z interesami Niemiec przyłączenie Zagłębia do Saary, oraz zachowanie jej autonomji oraz jedną „możliwość": powrót Saary do Niemiec. Mowę zakończył Hitler słowami, w których kryło się nietylko pragnienie, lecz i wyraźna groźba: „Pragniemy porozumienia z Francją. W jednej jednak sprawie *nie może być żadnego porozumienia.* Ani Rzesza nie może się wyrzec mieszkańców Saary, ani im nie wolno wyrzec się Niemiec!"

Zjazd norymberski był przeglądem sił nazi. Defilada przed Führerem trwała przeszło cztery godziny. Hitler nie pominął okazji, by wygłosić mowę, której szablonowość programową ratował chyba jego dar elokwencji. Padły słowa o prawie silniejszego do władzy, jako następstwie różnic rasowych, padło potępienie ustroju demokratycznego jako pozbawionego cnót heroicznych, padło oświadczenie o misji europejskiej, jaką spełniają Niemcy w walce z komunizmem.

Głośniki i mikrofony rozniosły te słowa po świecie. Trafiły one również do uszu przedstawicieli „ciała dyplomatycznego", których z niemałym trudem udało się nakłonić do udziału w zjeździe norymberskim. Warto wyliczyć kraje reprezentowane: Argentyna, Afganistan, Boliwja, Bułgarja, Chiny, Finlandja, Gwatemala, Egipt, Danja, Haiti, San-Domingo, Meksyk, Nikaragua, Kuba, Sjam, Peru, Persja, Węgry i Włochy. Nieobecność ambasadorów Anglji, Ameryki, Francji, ZSRR, Polski, Czechosłowacji, Japonji, Hiszpanji była wielce wymowna.

Do uszu setek tysięcy sfanatyzowanych szturmowców hitlerowskich nie doszły odgłosy strzałów, od których padł w dzień inauguracji zjazdu norymberskiego profesor Teodor Lessing, podstępnie i skrytobójczo zamordowany we własnem mieszkaniu.

Prof. Lessing, z pochodzenia Żyd, był jednym z przymusowych uciekinierów z Rzeszy, pozbawionych warsztatu pracy naukowej i zagrożonych w swem życiu przez pionierów odrodzenia kultury germańskiej. Obozujący pod Norymbergą nie myśleli też o innych obozach na terenie Rzeszy, w których bicie i głód są powszednią atrakcją, a śmierć — jedynem wyzwoleniem.

Odpowiedzią Francji na pangermańskie demonstracje i apetyty była inspekcja granic, dokonana przez premjera Daladiera. Cała prasa poświęciła liczne komentarze rezultatom tej inspekcji oraz oświadczeniom Daladiera, który wyraził żywe zadowolenie z obronnej gotowości

wschodnich granic republiki. Podróż premjera, który jest zarazem ministrem wojny, wykazała, że Francja otoczona jest „stalowym pierścieniem" fortyfikacyj, nowoczesnym i zdolnym do powstrzymania naporu bardzo potężnej armji. Przez jaki czas? W każdym razie wystarczający na sprowadzenie z Afryki dwustutysięcznej armji kolonjalnej.

Dzienniki prawicowe domagały się — z okazji podróży inspekcyjnej — nietylko ochrony granic przez budowę fortyfikacyj ale stanowczego „zawrócenia z drogi bezkrytycznego pacyfizmu". Organ radykałów Herriota *Ere Nouvelle* przestrzega przed powtarzaniem błędu z roku 1914, „kiedy Francja przeciwstawiła świetnemu uzbrojeniu atakujących Niemiec nieprzygotowane i niedostatecznie wyposażone siły francuskie", a wraz z *Echo de Paris i Temps* pismo zwraca uwagę na konieczność pracy nad „moralnem przygotowaniem" kraju do obrony. Daladier nie powinien zaniedbywać niczego co mogłoby przyczynić się do wojskowej, socjalnej, ekonomicznej i *duchowej* obrony. *Liberté* zwraca się do premjera z wezwaniem, aby nietylko doglądał fortyfikacyj, ale aby czuwał przedewszystkiem nad podniesieniem wśród młodzieży „ducha gotowości do walki o Francję".

Atmosfera jaka opanowała stosunki francusko-niemieckie nasiąka oparami, które zdążyły zaledwie opaść po czteroletniej wielkiej wojnie. Po obu brzegach Renu realizuje się w pośpiesznem tempie zbrojenia na lądzie, na morzu i w powietrzu.

Jak blado i bezgłośnie przeminęła na tle takiego układu stosunków wiadomość o nowym projekcie Roosevelta. Roosevelt ma zaproponować państwom europejskim *próbne* rozbrojenie na okres trzech lat. Propozycja Roosevelta polega na kompromisie: popiera on tezę francuską o powołaniu do życia międzynarodowej komisji kontroli zbrojeń, oraz tezę angielską Mac Donalda o wyeliminowaniu broni zaczepnej.

Journal des Debats pisze, że kombinacja planu francuskiego z planem Mac Donalda działałaby, jak niebezpieczny „środek nasenny", a *Liberté* jeszcze ostrzej ocenia pomysł amerykański, twierdząc, że próbne rozbrojenie byłoby czemś monstrualnem.

W obliczu demonstracyjnego i zaborczego zuchwalstwa hitleryzmu, w obliczu międzynarodowego wyścigu zbrojeń przyszłe obrady konferencji rozbrojeniowej zapowiadają się jako demonstracja impotencji i bezskuteczności.

***

Pomiędzy Ameryką a Japonją nastąpiła ostra wymiana not z racji jawnie okazywanego przez Stany Zjednoczone niezadowolenia z ekspansji japońskiej na brzegach Pacyfiku. Demonstracyjne manewry floty japońskiej zaniepokoiły opinję zarówno Stanów Zjednoczonych, jak i Anglji.

Ekspansja japońska wstępuje w drugą skolei fazę rozwoju: zawładnąwszy terenem azjatyckim, przerzuca swą akcję na południe Pacyfiku, ku Filipinom i ku północnym wybrzeżom Australji.

Teren australijski jest szczególnie potrzebny Japonji, której imperjalistyczne zapędy wypływają przedewszystkiem z przeludnienia. Australja jest bardzo słabo zaludniona, z łatwością może tedy wchłonąć nadmiar żółtej ludności. Japonja potrzebuje węgla. Australja posiada niewyczerpane bogactwo pokładów węglowych. Japonja szuka rynku zbytu dla swej produkcji przemysłowej. Australja jest pojemnym, chłonnym rynkiem przemysłowym. Takie są w zarysie przesłanki ekonomiczne, które kierują zaborcze apetyty japońskie ku Australji.

Australja stanowi jednak ważny objekt dla handlu angielskiego i amerykańskiego. Wielka Brytanja wwozi rocznie towarów za 60 miljonów funtów, Stany Zjednoczone — za 40 miljonów funtów. Japoński dumping uszczuplił znacznie eksport amerykański i angielski w ciągu ostatnich lat.

Niepokój Wielkiej Brytanji i Stanów Zjednoczonych, zagrożonych w swym stanie posiadania na Pacyfiku, jest tedy w świetle wyżej wyłuszczonych przyczyn, aż nadto uzasadniony. W grę wchodzi walka z państwem militarnem, które posiada wielką armję terytorjalną i potężną flotę morską. Australja jest narazie objektem dyplomatycznej rozgrywki między trzema największemi potęgami świata, która w niedalekiej przyszłości może się przeistoczyć — w rozgrywkę wojenną.

***

Szwajcarski ruch faszystowski zrodził się niedawno. Powstał dzięki kryzysowi. Dał ujście niezadowoleniu — zadłużonego i otoczonego wierzycielami hipotecznemi chłopa, oraz drobnomieszczanina, dotkliwie odczuwającego ucisk podatkowy. Ruch faszystowski odgrywał zresztą nikłą doniedawna rolę. W Szwajcarji włoskiej oraz w Genewie był liczebnie słaby, a w Szwajcarji niemieckiej rozbity był na szereg „frontów": Front Narodowy, Front Federalny, Liga Konfederacyj narodowo-socjalistycznych, Front Nowej Szwajcarji, Liga Ludu i Ojczyzny.

Front Narodowy, antysemicki i antymarksowski, odżegnywa się od zarzutów antydemokratyzmu i od wszelkiej łączności z zagranicą. Głównym działaczem tego frontu, liczącego około 30 tysięcy członków, jest pułkownik Sonderegger, były dowódca armji. Front posiada szturmówki. Organizuje teoretyczne i praktyczne kursy propagandowe. Program jego obejmuje przedewszystkiem zniesienie partyj politycznych i obecnego parlamentu, ustanowienie korporacyjnego systemu produkcji, poddanie władzy centralnej, bezpośrednio obranej przez ludność, kontroli „gospodarczych rad regjonalnych".

Najpóźniej powstała „Liga Ludu i Ojczyzny" posiada największe zasoby pieniężne. Wydaje własny dziennik *Eidgenossische Zeitung*. Naczelnem hasłem „Nowej Szwajcarji" jest obrona klas średnich.

Organizacje „frontowe" skoncentrowały swą działalność wśród bezrobotnych oraz młodzieży, podniecając nastroje opozycyjne i niezadowolenia oraz czyniąc odpowiedzialnym za kryzys gospodarczy „regime, który oddalił się od narodu".

Nacjonaliści niemieccy, poczęli na „modłę austrjacką" wtrącać się do spraw szwajcarskich. Prasa trzeciej Rzeszy nawoływała Niemców szwajcarskich do połączenia się z Rzeszą, oraz zniesienia demokracji. W „Hamburger Illustrierte Zeitung" ukazał się artykuł o Niemczech bez ojczyzny, zamieszkujących w Szwajcarji, których należy wcielić do Rzeszy. Prof. Freytag, Niemiec, wykładający na uniwersytecie zurychskim został prezesem partji narodowo-socjalistycznej.

Apetyty aneksyjne hitlerowskich Niemców oburzyły opinję szwajcarską. Profesorowi Freytagowi dano do wyboru pomiędzy katedrą uniwersytecką, a nacjonal-socjalizmem. Wybrał katedrę. Korespondenta szwajcarskiego *Hamburger Illustrierte Ztg.* usunięto ze związku dziennikarzy. Wstrzemięźliwa dotychczas prasa Szwajcarji niemieckiej ostro zaczęła zwalczać hitleryzm. Nawet faszyści „frontowi" rozpoczęli odżegnywać się od łączności z hitleryzmem.

Przywiązanie do zagrożonej dziś niepodległości demokratycznej Szwajcarji wzięła górę nad powinowactwem językowem i rasowem, które hitlerowcy zbyt pośpiesznie uznali za rozstrzygający probierz przynależności Szwajcarji niemieckiej do Rzeszy. Zawiedli się. Powtórzyła się — na mniejszą oczywiście skalę — „klęska austrjacka".

Zastępca

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu B. Owczynnikowi w Dukisztach. Wysłaliśmy. Za miłe słowa dziękujemy.

Panu L. L. w Warszawie. Trzeba dać trochę swobody pisarzom, którzy już mają swoją rangę literacką.

Panu E. K. w Swisłoczu. Nie pisalibyśmy o tej sprawie tyle, gdyby była wyłącznie lokalna. Niesie ona epidemję psychiczną, przed którą trzeba uchronić społeczeństwo. Inne uwagi słuszne. Atak będzie wzmocniony.

Panu Władysławowi K. w Częstochowie. Przekład tej książki ma się ukazać niebawem.

Panu Leonowi B. w Warszawie. Skorzystamy.

Pani Stanisławie W. w Warszawie. Nie do druku.

Panu Kazimierzowi R. w Poznaniu. Musimy najpierw przeczytać tę pracę.

TREŚĆ NUMERU

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z. 570 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.